



FRANZ KAFKA

Proces

Proces

FRANZ KAFKA

Proces

Przekład: Józefina Szelińska



Tytuł oryginału: Der Prozeß

Tłumaczenie: Józefina Szeplińska

Wydawnictwo SBM dołożyło wszelkich starań w celu odnalezienia spadkobierców praw autorskich Tłumaczki. Prosimy o kontakt z redakcją wszystkie osoby lub instytucje, które mogą udzielić na ten temat informacji.

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Zdjęcia na okładce: główne (front) – Dreamstime.com © ArchitectureVIZ, © Viorel Sima, pozostałe – Dreamstime.com © Danako, © Olga Lepeshkina, © Kittasgraphics

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021

Warszawa 2021



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8222-479-5

Spis treści

Rozdział I

Aresztowanie — Rozmowa z panią Grubach — Potem panna Bürstner 7

Rozdział II

Pierwsze przesłuchanie 35

Rozdział III

W pustej sali posiedzeń — Student — Kancelarie 51

Rozdział IV

Przyjaciółka panny Bürstner 74

Rozdział V

Siepacz 82

Rozdział VI

Wuj — Leni 89

Rozdział VII

Adwokat — Fabrykant — Malarz 110

Rozdział VIII

Kupiec Block — K. wypowiada adwokatowi 157

Rozdział IX

W katedrze 188

Rozdział X

Koniec 211

Rozdział I

Aresztowanie — Rozmowa z panią Grubach — Potem panna Bürstner

Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany. Kucharka pani Grubach, jego gospodyni, przynosząca mu śniadanie codziennie około ósmej godziny rano, tym razem nie przysłała. To się dotychczas nigdy nie zdarzyło. K. czekał jeszcze chwilę, widział ze swego łóżka starą kobietę z przeciwka, która obserwowała go z niezwykłą ciekawością, potem jednak, głodny i zdziwiony, zadzwonił. Natychmiast ktoś zapukał i wszedł mężczyzna, którego jeszcze nigdy w tym mieszkaniu nie widział. Był wysmukły, a jednak silnie zbudowany, miał na sobie czarne, obcisłe ubranie, podobne do stroju podróżnego, zaopatrzone w różne kieszenie, fałdy, guziki i sprzączki oraz pasek, tak że wyglądało nadzwyczaj praktycznie, mimo iż nie było jasne, do czego by mogło służyć.

— Kto pan jest? — zapytał K. i natychmiast podniósł się w łóżku.

Mężczyzna jednak zbył to milczeniem, jak gdyby i tak trzeba było pogodzić się z jego obecnością, i spytał tylko:

— Pan dzwonił?

— Niech mi Anna przyniesie śniadanie — powiedział K. i starał się tymczasem, milcząc i natężając uwagę dociec, kim właściwie jest ów człowiek. Ale ten nie liczył się z jego ciekawością, lecz podszedł do drzwi, które na pół uchylił, aby komuś, kto widocznie stał tuż za nimi, powiedzieć:

— On chce, by Anna przyniosła mu śniadanie.

W pokoju przyległym dał się słyszeć chichot, ale sądząc z głosu, trudno było poznać, czy to śmiała się jedna osoba, czy więcej. Choć obcy człowiek nie dowiedział się właściwie nic, czego by już przedtem nie wiedział, zwrócił się do K., oznajmiając:

— To jest niemożliwe.

— O, to coś nowego — powiedział K., wyskoczył z łóżka i wdział szybko spodnie. — Chcę jednak zobaczyć, kto tam jest w sąsiednim pokoju, a pani Grubach odpowie mi za to zakłócenie spokoju! — Wprawdzie natychmiast uczuł, że nie powinien był tego głośno mówić i że przez to uznaje do pewnego stopnia prawo nieznajomego do nadzoru, jednak nie wydawało mu się to teraz ważne. W każdym razie tak to widocznie nieznajomy zrozumiał, gdyż powiedział:

— Nie zechciałby pan raczej tu zostać?

— Nie chcę ani tu zostać, ani z panem rozmawiać, dopóki pan mi się nie przedstawi.

— Nie miałem nic złego na myśli — rzekł nieznajomy i otworzył teraz dobrowolnie drzwi.

Sąsiedni pokój, do którego K. wszedł wolniej, niż chciał, wyglądał na pierwszy rzut oka prawie tak samo jak poprzedniego wieczora. Było to mieszkanie pani Grubach. Może w tym przeładowanym meblami, makatami, porcelaną i fotografiami pokoju było dziś nieco więcej miejsca niż zazwyczaj, ale nie można tego było zauważyć od razu, tym bardziej że główna zmiana polegała na obecności jakiegoś mężczyzny, siedzącego przy otwartym oknie z książką, znad której teraz podniósł głowę.

— Powinien pan być zostać w swoim pokoju! Czy Franciszek panu tego nie powiedział?

— Ale czego pan chce ode mnie, u licha? — rzekł K. Wodząc oczami od nowego nieznajomego do tego, którego nazwano Franciszkiem, a który został w drzwiach. Przez otwarte okno znowu widać było w przeciwległej kamienicy starą kobietę, która z prawdziwie starczą ciekawością podeszła do okna, aby w dalszym ciągu wszystkiemu się przypatrywać.

— Ależ chcę widzieć panią Grubach — powiedział K., zrobił ruch, jakby się wyrывał obu ludziom, którzy stali przecież daleko od niego, i chciał pójść dalej.

— Nie — rzekł człowiek przy oknie, rzucił książkę na stolik i wstał. — Nie wolno panu odejść, pan jest przecież aresztowany.

— Tak to wygląda — rzekł K. — Ale za co? — spytał potem.

— Tego panu nie możemy powiedzieć. Proszę pójść do swego pokoju i czekać. Wdrożono już dochodzenie i w swoim czasie dowie się pan o wszystkim. Wychodzę już poza instrukcje, rozmawiając z panem tak uprzejmie. Ale spodziewam się, że tego nie słyszy nikt oprócz Franciszka, a ten jest wbrew wszelkim przepisom aż nadto grzeczny wobec pana. Jeśli pan dalej będzie miał tyle szczęścia, ile obecnie przy wyznaczaniu strażników, to może pan być całkiem spokojny.

K. chciał usiąść, lecz zauważył, że w całym pokoju nie było miejsca do siedzenia z wyjątkiem krzesła przy oknie.

— Pan się jeszcze sam przekona, jak dalece to wszystko jest prawdą — powiedział Franciszek i zbliżył się do niego wraz z drugim mężczyzną. Zwłaszcza ten ostatni przewyższał znacznie K. wzrostem i klepał go raz po raz po ramieniu. Obaj zbadali koszulę nocną K. i orzekli, że teraz będzie musiał włożyć o wiele gorszą, ale że oni tę koszulę, jak i całą jego pozostałą bieliznę, przechowają i zwrócą, jeśli jego sprawa wypadnie pomyślnie.

— Lepiej będzie, jeśli pan odda te rzeczy nam aniżeli do magazynu — powiedzieli — bo w magazynie zdarzają się często sprzeniewierzenia i oprócz tego sprzedaje się tam po jakimś czasie wszystkie przedmioty, bez względu na to, czy dochodzenie jest już ukończone, czy nie. A jak długo trwają tego rodzaju procesy, zwłaszcza w ostatnich czasach! Dostałby pan co prawda w końcu pewną sumę ze sprzedaży, ale suma ta jest po pierwsze niewielka, bo przy wyprzedaży rozstrzyga nie tyle wysokość ceny wywoławczej, ile wysokość łapówki, po drugie zaś kwota ta, jak doświadczenie uczy, maleje dalej z roku na rok, przechodząc z ręki do ręki.

K. nie zwracał prawie uwagi na te rady; prawa dysponowania własnymi rzeczami, prawa, które może jeszcze posiadał, nie cenił wysoko, o wiele ważniejsze było, aby zdać sobie sprawę ze swego położenia. W obecności jednak tych ludzi nie mógł się nawet zastanowić, potrącany co chwila niemal po przyjacielsku brzuchem jednego ze strażników — mogli to być chyba tylko strażnicy — ale gdy podnosił wzrok, widział zupełnie z tym grubym ciałem nie harmonizującą suchą, kościstą twarz, z grubym, w bok skrzywionym nosem, twarz, która ponad jego głową porozumiewała się spojrzeniem z towarzyszem. Co to byli za ludzie? O czym mówili? Jakiej władzy podlegali? K. żył przecież w państwie praworządnym, wszędzie panował pokój, wszystkie prawa były przestrzegane, kto śmiał go we własnym mieszkaniu napadać? Zawsze był skłonny wszystko lekko traktować, wierzyć temu, co najgorsze, dopiero kiedy ono nań spadło, nie zabezpieczać się na przyszłość, choćby zewsząd groziły niebezpieczeństwa — w tym jednak wypadku nie wydawało mu się to właściwe. Można było wprawdzie wziąć to wszystko za żart, gruby żart, który mu, z niewiadomych powodów, może z okazji jego dzisiejszej trzydziestej rocznicy urodzin, splełali jego koledzy z banku. To było naturalnie możliwe. I może wystarczyło tylko roześmiać się strażnikom w twarz, aby i oni się roześmiali, może to byli tylko posłańcy z rogu ulicy — w istocie byli trochę do nich podobni — mimo to był od pierwszej chwili, niemal odkąd spostrzegł strażnika Franciszka, zdecydowany nie wypuszczać z ręki żadnego swego atutu. Z tego, że później powiedzą, iż nie rozumie się na żartach, niewiele sobie robił. Co prawda, nie było w jego zwyczaju wyciągać nauk z doświadczenia — dobrze sobie przypominał pewne same przez się nic nie znaczące wypadki, w których, inaczej niż jego znajomi, świadomie i bez najmniejszej troski o możliwe następstwa zachował się nieostrożnie i za to w rezultacie został ukarany. To nie powinno się było powtórzyć, przynajmniej tym razem. Jeśli to była komedia, był zdecydowany wziąć w niej udział.

Na razie był jeszcze wolny.

— Przepraszam — rzekł i szybko przeszedł pomiędzy strażnikami do swego pokoju.

— Wygląda na rozsądnego — usłyszał za sobą uwagę strażników.

W swoim pokoju otworzył natychmiast gwałtownie szuflady biurka. Wszystko leżało tam w największym porządku, ale właśnie legitymacji, których szukał, nie mógł w zdenerwowaniu znaleźć. W końcu znalazł swoją kartę rowerową i chciał z nią pójść do strażników, lecz potem wydał mu się ten papier zbyt błahy i po dalszych poszukiwaniach znalazł wreszcie swoją metrykę. Gdy wrócił do sąsiedniego pokoju, otworzyły się właśnie drzwi naprzeciwko, chciała nimi wejść pani Grubach. Widział ją tylko krótką chwilę, bo zaledwie poznała K., zmieszała się widocznie, przeprosiła, cofnęła się i nadzwyczaj ostrożnie zamknęła drzwi za sobą. K. zdołał zaledwie jeszcze powiedzieć:

— Ależ proszę wejść.

I oto stał ze swoimi papierami na środku pokoju, patrzył jeszcze na drzwi, które się już nie otworzyły, i zerwał się przestraszony dopiero na zawołanie strażników, którzy siedzieli koło otwartego okna i jak K. teraz zauważył, spożywali jego śniadanie.

— Dlaczego nie weszła? — spytał.

— Nie wolno jej — odpowiedział wyższy strażnik — jest pan przecież aresztowany.

— Jakże mogę być aresztowany? I do tego w taki sposób?

— Znowu pan zaczyna — powiedział strażnik i zanurzył kromkę chleba z masłem w słoiku z miodem. — Na takie pytania nie odpowiadamy.

— Będziecie mi na nie musieli odpowiedzieć — powiedział K. — Oto moje dokumenty, pokażcie mi teraz wasze, a przede wszystkim rozkaz aresztowania.

— Miły Boże — rzekł strażnik — że też pan nie umie zastosować się do swego położenia. Jakby uwziął się pan drażnić nas bez celu, choć jesteśmy teraz prawdopodobnie bliżsi panu od wszystkich pańskich bliźnich.

— Tak jest w istocie, niech pan temu wierzy — dodał Franciszek, nie podnosząc do ust filiżanki kawy, którą trzymał w ręku, lecz patrząc na K. długim, jakby pełnym znaczenia, choć niezrozumiałym spojrzeniem.

K. wbrew własnej woli wdał się w wymianę spojrzeń z Franciszkiem, potem uderzył jednak w swoje papiery i rzekł:

— Tu są moje dokumenty.

— Cóż one nas obchodzą? — zawołał teraz wyższy strażnik.

— Pan się zachowuje gorzej niż dziecko. Czego pan chce? Czy myśli pan, że pan szybciej wygra swój ciężki, przeklęty proces, dyskutując z nami, strażnikami, o legitymacji i nakazie aresztowania? Jesteśmy tylko skromnymi funkcjonariuszami nieznającymi się na dokumentach, mamy tyle z pańską sprawą wspólnego, że musimy przez dwieście godzin dziennie pilnować pana i za to nam płacą. Oto wszystko, czym jesteśmy, tyle jednak potrafimy zrozumieć, że wysokie władze, którym służymy, informują się, nim zarządzą aresztowanie, bardzo dokładnie o powodach uwięzienia i o osobie uwięzionego. Nie może w tym zajść żadna pomyłka. Nasza władza, o ile ją znam, a znam tylko najniższe służbowe stopnie, nie szuka winy wśród ludności, raczej winą sama przyciąga organy sądowe, które ją wówczas ścigają, jak mówi ustawa, i wysyłają nas, strażników. Takie jest prawo. Gdzie więc może tu zajść jakaś pomyłka?

— Nie znam tego prawa — powiedział K.

— Tym gorzej dla pana — odrzekł strażnik.

— Ono istnieje chyba jedynie w waszych głowach — powiedział K. Chciał w jakiś sposób wkraść się w myśli strażników, zmienić je na swoją korzyść, zakorzenić się w nich. Lecz strażnik odpowiedział surowo:

— Pan je jeszcze na sobie odczuje.

Franciszek wmieszał się i rzekł:

— Patrz, Willem, on przyznaje, że tego prawa nie zna, a równocześnie twierdzi, że jest niewinny.

— Masz zupełną rację. Ale on sobie niczego nie da wytłumaczyć — powiedział drugi.

K. nie odpowiadał już nic. „Czy mam się dać bałamucić tym najniższym funkcjonariuszom?” — myślał. — „Sami przyznają, że nimi są. Przecież gadają o rzeczach, których zupełnie nie rozumieją.

Ich pewność siebie pochodzi jedynie z głupoty. Kilka słów, które zamienię z kimś sobie równym, o wiele lepiej mi wszystko wyjaśni niż długie rozmowy z tymi gburami”. Przeszedł się kilka razy po wolnej części pokoju tam i z powrotem. Widział, jak naprzeciwko stara kobieta przyciągnęła do okna, obejmując ramieniem jakiegoś starca w wieku jeszcze bardziej podeszłym. K. postanowił skończyć z tym widowiskiem.

— Zaprowadźcie mnie do waszego przełożonego — powiedział.

— Dopiero na jego życzenie, nie pędź — odpowiedział strażnik nazwany Willemem. — A teraz radzę panu — dodał — pójść do swego pokoju, zachowywać się cicho i czekać na dalsze rozporządzenia. Radzimy panu nie zajmować się bezużytecznymi myślami, tylko skupić się, gdyż będzie pan jeszcze musiał sprostać niemałym wymaganiom. Nie obchodzi się pan z nami, jak zasłużyliśmy na to naszą uprzejmością, zapomniał pan, że bądź co bądź jesteśmy w porównaniu z panem wolnymi ludźmi, a to jest niemała przewaga. Mimo to jesteśmy gotowi, jeśli pan ma pieniądze, przynieść panu skromne śniadanie z kawiarni naprzeciwko.

K. stał chwilę cicho, nie odpowiadając na tę propozycję. Być może, gdyby otworzył drzwi do następnego pokoju albo nawet do przedpokoju, nie ośmieliliby się go powstrzymać, może byłoby najprostszym rozwiązaniem sytuacji, gdyby posunął się do ostateczności. Ale może też rzuciliby się na niego, a raz schwytany i obalony straciłby całą przewagę, jaką dotąd nad nimi pod pewnym względem zachował. Dlatego z ostrożności postanowił zdać się na rozwiązanie, które musiało przyjść naturalnym biegiem rzeczy, i wrócił do swego pokoju.

Ani z jego strony, ani ze strony strażników nie padło już żadne słowo. Rzucił się na łóżko i wziął z umywalni piękne jabłko, które przygotował sobie wczoraj wieczorem na poranny posiłek. Teraz stanowiło ono jego całe śniadanie, w każdym razie, o czym się po pierwszym kęsie przekonał, o wiele lepsze od śniadania z brudnego baru, które by otrzymał z łaski strażników. Czuł się dobrze i bezpiecznie.

Wprawdzie opuścił dziś przed południem służbę w banku, ale mógł łatwo to usprawiedliwić dzięki stosunkowo wysokiemu stanowi-sku, jakie tam zajmował. Czy powinien podać prawdziwy powód nieobecności? Miał zamiar tak zrobić. Gdyby mu nie uwierzono, co było w tym wypadku łatwo zrozumiałe, mógłby powołać na świad-ków panią Grubach albo oboje staruszków z przeciwka, którzy teraz pewnie spieszyli do przeciwległego okna. Dziwiło to K., przynaj-mniej z punktu widzenia strażników, że zapędzili go do tego pokoju i zostawili samego tu, gdzie przecież miał wszelkie możliwości ode-brania sobie życia. Równocześnie jednak zastanawiał się, tym razem z własnego punktu widzenia, czy miał w istocie powód do takiego kroku. Czy dlatego, że ci dwaj siedzieli obok i sprząтали mu sprzed nosa śniadanie? Byłby ten krok czymś tak bezsensownym, że już wskutek tej bezsensowności nie byłby w stanie go uczynić, nawet gdyby miał nań ochotę. Gdyby ograniczoność strażników nie była tak rażąca, można by przypuszczać, że i oni byli tego samego zdania i nie widzieli niebezpieczeństwa, zostawiając go samego. Mogli te-raz, jeśli chcieli, widzieć, jak podszedł do szafki ściennej, gdzie prze-chowywał dobrą wódkę, jak naprzód wychylił jeden kieliszek za-miast czegoś gorącego na śniadanie, a następnie drugi dla dodania sobie odwagi, ten drugi jedynie z przezorności, na wszelki wypadek. Wtem wstrząsnął nim krzyk z sąsiedniego pokoju tak gwałtownie, że zadzwonił zębami o szkło.

— Nadzorca wzywa pana! — zawołano.

Tym, co go przestraszyło, był krzyk, ten krótki, urywany, żołnierski wrzask, o który by nigdy strażnika Franciszka nie posądzal. Sam roz-kaz był mu pożądanym.

— Wreszcie! — odkrzyknął, zamknął szafkę i natychmiast pobiegł do sąsiedniego pokoju.

Tam stali obaj strażnicy i jakby się to samo przez się rozumiało, zagnali go z powrotem do jego pokoju.

— Co wam przyszło do głowy! — wołali. — W koszuli chcecie iść do nadzorcy? Każe was obić, i nas w dodatku.

— Puście mnie, do diabła! — wołał K., którego już przyparli do szafy — Nie można wymagać ode mnie odświętnego stroju, skoro napada się na mnie w łóżku.

— Trudna rada — powiedzieli strażnicy, którzy zawsze, ilekroć K. podnosił głos, uspokajali się, nawet wprost smutnieli, co go mieszało i poniekąd otrzeźwiało.

— Śmieszne ceremonie — mruczał jeszcze, ale już zdjął ubranie z krzesła i trzymał je chwilę w obu rękach, jakby poddawał je ocenie strażników. Potrząsnęli głowami.

— To musi być czarne ubranie — powiedzieli.

Na to K. rzucił ubranie na ziemię i sam nie rozumiejąc, w jakim sensie to mówi, powiedział:

— Przecież to jeszcze nie jest rozprawa główna.

Strażnicy uśmiechnęli się, lecz obstawali przy swoim:

— To musi być czarne ubranie.

— Jeśli przez to przyspieszę sprawę, niech już będzie — powiedział K., otworzył sam szafę i szukał długo pomiędzy garniturami, wybrał najlepszy czarny żakiet, który swoim krojem wywołał sensację wśród znajomych, wyciągnął także inną koszulę i zaczął się starannie ubierać. W skrytości ducha sądził, że udało mu się przyspieszyć całą sprawę przez to, że strażnicy zapomnieli zmusić go do kąpieli. Obserwował ich, czy sobie tego może jednak nie przypomną, ale oni oczywiście wcale na to nie wpadli, natomiast Willem nie zapomniał wysłać Franciszka do nadzorcy z doniesieniem, że K. się ubiera.

Gdy był już zupełnie ubrany, musiał przejść obok Willema przez pusty pokój sąsiedni do następnego, którego dwuskrzydłowe drzwi były już na oścież otwarte. Ten pokój, jak K. dobrze o tym wiedział, zamieszkiwała od niedawna niejaka panna Blistner, stenotypistka, która zwykła była bardzo wcześnie wychodzić do pracy, późno wracała do domu i z którą K. zamienił był zaledwie parę razy pozdrowienia. Teraz wysunięto na środek pokoju stolik nocny sprzed jej łóżka, niby stół na rozprawie sądowej, i za nim zasiadł nadzorca. Założył nogę na nogę i jedno ramię oparł na poręcz krzesła.

W jednym kącie pokoju stali trzej młodzi ludzie i przypatrywali się fotografiom panny Blirstner, zatkniętym w wiszącą na ścianie trzcinową matę. Na klamce otwartego okna wisiała biała bluzka. Z okna naprzeciw znowu wychylali się oboje starzy, ale grupa powiększyła się, bo za nimi stał znacznie od nich wyższy mężczyzna z rozpiętą na piersiach koszulą, który przebiegał palcami w swojej rudawej, spiczastej bródce.

— Józef K.? — spytał nadzorca, może tylko po to, aby ściągnąć na siebie jego latający wzrok.

K. przytaknął.

— Pan jest zapewne bardzo zaskoczony wypadkami dzisiejszego rana? — spytał nadzorca i przesunął przy tym obiema rękami kilka przedmiotów leżących na stoliku: świecę, zapalki, książkę i poduszczyk na szpilki, jakby to były przedmioty potrzebne mu do rozprawy.

— Pewnie — odparł K. i ogarnęło go miłe uczucie zadowolenia, że wreszcie ma do czynienia z człowiekiem rozumnym i może z nim mówić o swojej sprawie. — Bez wątpienia, jestem zaskoczony, ale znowu nie tak bardzo.

— Nie bardzo zaskoczony? — spytał nadzorca i postawił świecę na środku stolika, grupując wokół niej inne przedmioty.

— Może mnie pan źle rozumie — spieszenie zauważył K. — Przyznaję — tu przerwał i obejrzał się za jakimś krzesłem. — Mogę chyba usiąść? — zapytał.

— To u nas nie jest przyjęte — odpowiedział nadzorca.

— Przyznaję — rzekł K. już bez dalszej przerwy — że jestem bądź co bądź bardzo zaskoczony, ale gdy się żyło na świecie trzydzieści lat i samemu musiało się przez życie przebijać, jak to mnie przypadło w udziale, człowiek staje się odporny i nie bierze już tak poważnie żadnych niespodzianek. Zwłaszcza takich jak ta dzisiejsza.

— Dlaczego zwłaszcza takich jak ta dzisiejsza?

— Nie mówię, że uważam to wszystko za żart, na to poczynione przygotowania wydają mi się jednak zbyt daleko idące. Należałoby wmieszać w to wszystkie osoby pensjonatu, a także was wszystkich, a to by przekraczało granice żartu. Nie chcę więc mówić, że to jest żart.

— Całkiem słusznie — powiedział nadzorca i obliczał, ile jest zapalek w pudełku z zapalkami.

— Z drugiej jednak strony — ciągnął dalej K. i zwrócił się przy tym do wszystkich, a chętnie byłby się nawet zwrócił jeszcze do tych trzech przy fotografiach — z drugiej jednak strony cała ta sprawa nie może być bardzo ważna. Wnioskuje to z tego, że jestem wprawdzie oskarżony, ale nie mogę znaleźć najmniejszej winy, o którą można mnie było oskarżyć. Ale i to jest drugorzędną sprawą. Kto mnie oskarża? — oto zasadnicze pytanie. Jaka władza prowadzi dochodzenia? Czy pan jest urzędnikiem? Nikt z was nie ma munduru, chyba że pańskie ubranie — tu zwrócił się do Franciszka — zechce ktoś uważać za mundur, ale i ono jest raczej strojem podróznym. W tych kwestiach żądam wyjaśnień i jestem przekonany, że po ich otrzymaniu najserdeczniej się rozstaniemy. Nadzorca opuścił na stół pudełko z zapalkami.

— Pan jest w wielkim błędzie — rzekł. — Ci panowie i ja stoimy w tej sprawie całkiem na uboczu, co więcej, my o niej prawie nic nie wiemy. Choćbyśmy nosili nawet najbardziej przepisowe mundury, nie pogorszyłoby to ani trochę stanu pańskiej sprawy. Nie mogę też bynajmniej powiedzieć panu, czy jest pan oskarżony, sam tego nie wiem. Pan jest aresztowany, oto wszystko, więcej nie wiem. Może strażnicy nagadali co innego, w takim razie było to tylko czeże gadanie. Ale chociaż nie odpowiem na pańskie pytania, to jednak radzę panu mniej zajmować się nami i tym, co się z panem stanie, natomiast więcej myśleć o sobie. I lepiej nie robić tyle hałasu z tą pańską niewinnością, bo to psuje niezłe wrażenie, jakie pan na ogół sprawia. Powinien pan też być powściągliwszy w słowach. Prawie wszystko, co pan przedtem powiedział, można było po pierwszych paru słowach wywnioskować z pańskiego zachowania, zresztą nie było to nic dla pana szczególnie korzystnego.

K. wpatrzył się w nadzorcę. Dostawał nauczki jak w szkole, i w dodatku może od człowieka młodszego od siebie! Za swoją otwartość został ukarany naganą! A o przyczynach aresztowania i o tym, kto je nakazał, nie dowiedział się niczego!

Zirytowany przemierzał pokój tam i z powrotem, w czym mu nikt nie przeszkadzał, podciągnął mankiety, obmacał sobie pierś, przygłądził włosy, przeszedł obok trzech mężczyzn, powiedział:

— Ależ to nie ma sensu — na co się odwrócili i popatrzyli na niego życzliwie, ale z powagą, a on wreszcie zatrzymał się przy stole nadzorcy. — Prokurator Hasterer jest moim dobrym przyjacielem — rzekł — czy mogę do niego zatelefonować?

— Oczywiście — powiedział nadzorca — tylko nie wiem, jaki to mogłoby mieć sens? Chyba że ma pan z nim omówić jakąś prywatną sprawę.

— Jaki sens? — zawołał K. bardziej zdumiony niż rozgniewany. — Ależ kto pan jest? Pan chce widzieć sens, a dopuszcza się największego bezsensu. To doprawdy może przyprawić o rozpacz. Ci panowie najpierw mnie napadli, a teraz siedzą i stoją naokoło i kaza mi popisywać się przed panem. Jaki to ma sens telefonować do prokuratora, gdy jestem rzekomo aresztowany? Dobrze, nie będę telefonował.

— Ależ proszę — powiedział nadzorca i wskazał ręką na przedpokój, gdzie był telefon. — Proszę, może pan zatelefonować.

— Nie, już teraz nie chcę — rzekł K. i podszedł do okna. Naprzeciw całe towarzystwo stało jeszcze u okna i tylko jego zbliżenie się zmieszało nieco obserwatorów. Starzy chcieli się podnieść, lecz znajdujący się za nimi człowiek uspokoił ich.

— Tam są także tacy widzowie! — zawołał K. całkiem głośno do nadzorcy i pokazał ich wskazującym palcem. — Precz stąd! — krzyknął potem do nich. Wszyscy troje zaraz się też cofnęli o kilka kroków, oboje starzy nawet jeszcze za mężczyznę, który zasłonił ich swoim szerokim ciałem i wnosząc z ruchu ust, mówił coś niezrozumiałego na odległość. Całkiem jednak nie zniknęli, lecz zdawali się czekać na sposobność, kiedy będą mogli znowu zbliżyć się do okna.

— Natrętni, niewychowani ludzie! — powiedział K., odwracając się od okna. Nadzorca prawdopodobnie zgadzał się z nim, co K. stwierdził, jak mu się zdawało, spojrzeniem z ukosa. Ale równie do-

brze mógł niczego nie słyszeć, gdyż jedną rękę silnie przycisnął do stołu i był widocznie zajęty porównywaniem długości palców. Obaj strażnicy siedzieli na kufrze przykrytym ozdobną kapą i tarli swoje kolana. Trzej młodzi ludzie wsparli się rękoma o biodra i patrzyli wokół bez celu. Było cicho jak w jakimś opustoszałym biurze.

— A więc, moi panowie! — zawołał K. i przez chwilę było mu tak ciężko, jakby dźwigał ich wszystkich na barkach. — Sądząc z zachowania się panów, moja sprawa jest chyba zakończona. Jestem zdania, że najlepiej będzie nie mówić więcej o słuszności czy niesłuszności waszego postępowania i zakończyć rzecz pojednawczo przez wzajemny uścisk dłoni. Jeśli i pan jest tego zdania, to proszę.

K. przystąpił do stołu nadzorcy i wyciągnął rękę. Wciąż jeszcze przypuszczał, że nadzorca ujmie ją, ale ten wstał, wziął okrągły, twardy kapelusz, który leżał na łóżku panny Burstner, i obiema rękami nasadził go sobie ostrożnie na głowę, jak to się robi zwykle przy przymiarce nowych kapeluszy.

— Jak proste wydaje się panu wszystko — mówił przy tym do K. — Więc mamy sprawę zakończyć ugodowo, myśli pan? Nie, nie, to doprawdy niemożliwe. Z drugiej strony, nie chcę przez to wcale powiedzieć, że powinien pan zwątpić. Nie, dlaczegóż by? Pan jest tylko aresztowany, nic więcej. Miałem to panu oznajmić, zrobiłem to i widziałem także, jak pan to przyjął. Na tym na dzisiaj dość i możemy się pożegnać, zresztą tylko na razie. Przypuszczam, że zechce pan teraz pójść do banku.

— Do banku? — spytał K. — Sądziłem, że jestem aresztowany. — K. pytał z pewną przekorą.

Mimo że jego ręka nie została przyjęta, czuł się coraz bardziej niezależnym od wszystkich tych ludzi, zwłaszcza odkąd nadzorca się podniósł. Igrał teraz z nim. Miał zamiar, na wypadek jeśli odejdą, zbiec za nimi aż do bramy i zaofiarować im swoje aresztowanie. Dlatego powtórzył jeszcze: — Jak mogę pójść do banku, skoro jestem aresztowany?

— Ach tak — rzekł nadzorca już w drzwiach — pan mnie źle zrozumiał. Pan jest aresztowany, pewnie, ale nie powinno to panu przeszkadzać w wykonywaniu zawodu. I nie powinno to również wpłynąć na codzienny tryb pańskiego życia.

— W takim razie nie jest tak straszną rzeczą być aresztowanym — powiedział K. i przystąpił blisko do nadzorcy.

— Nigdy nie byłem innego zdania — odpowiedział on.

— Wobec tego zdaje mi się, że i zawiadomienie mnie o uwięzieniu nie było tak bardzo konieczne — rzekł K. i podszedł jeszcze bliżej. Także i inni zbliżyli się. Wszyscy zebrali się teraz w jednym miejscu przy drzwiach.

— To było moim obowiązkiem — rzekł nadzorca.

— Głupi obowiązek — powiedział K. nieustępliwie.

— Być może — odpowiedział nadzorca — ale szkoda tracić czas na takie rozmowy. Przypuszczałem, że chce pan pójść do banku. A ponieważ pan zważa na każde słowo, dodam: nie zmuszam pana, przypuszczałem tylko, że pan sam chce pójść do banku. Chcąc zaś panu ułatwić powrót, o ile możliwości bez zwrócenia uwagi, trzymałem tu w pogotowiu tych trzech panów, pańskich kolegów.

— Jak to? — zawołał K. i popatrzył na nich ze zdziwieniem. Ci tak mało charakterystyczni, anemiczni młodzi ludzie, których zachował w pamięci tylko jako grupę koło fotografii, byli rzeczywiście urzędnikami jego banku, co prawda nie kolegami, to już była przesada, dowodząca luki we wszechwiedzy nadzorcy, bądź co bądź byli niższymi urzędnikami. Jak mógł K. to przeoczyć? Jak musiała być pochłonięta jego uwaga strażnikami i nadzorcą, że nawet nie poznał tych trzech! Sztywnego, wywijającego rękami Rabensteinerja, blondyna Kullicha z głęboko osadzonymi oczyma oraz Kaminera z jego nieznośnym grymasem: uśmiechem wywoływanym przez chroniczny skurcz mięśnia.

— Dzień dobry! — rzekł po chwili K. i podał rękę trzem panom, którzy poprawnie się uklonili. — Zupełnie panów nie poznałem. Idziemy więc do roboty?

Panowie skinęli z uśmiechem, skwapliwie, jakby przez cały czas tylko na to czekali, i gdy K. oglądał się za kapeluszem, który został w jego pokoju, wszyscy trzej rzucili się na poszukiwanie, jeden za drugim, co wskazywało jednak na pewne zakłopotanie. K. stał spokojnie i patrzył za nimi przez dwoje otwartych drzwi. Ostatnim był naturalnie obojętny na wszystko Rabesteiner, który zamachnął się tylko z elegancją do biegu. Kaminer podał kapelusz i K. musiał wyraźnie stwierdzić, na co już w banku nieraz zwrócił uwagę, że uśmiech Kaminera nie pochodził z rozmysłu, co więcej, że nie mógł on w ogóle nigdy śmiać się umyślnie. W przedpokoju otworzyła drzwi całemu towarzystwu pani Grubach, która wcale nie wyglądała na osobę poczuwającą się bardzo do winy, i K. spojrzał, jak zazwyczaj, na szelki jej fartucha, które tak niepotrzebnie głęboko wrzynały się w jej potężne ciało. Na dole K., spojrzawszy na zegarek, postanowił wziąć auto, aby nie powiększać zbytecznie już i tak półgodzinnego opóźnienia. Kaminer pobiegł na róg po auto, tamci dwaj najwyraźniej starali się K. zabawić, gdy nagle Kullich wskazał bramę kamienicy z przeciwną, bramę, w której właśnie pojawił się ów wysoki mężczyzna z jasną ostrą bródką i jakby w pierwszej chwili nieco zmieszany tym, że ukazał się teraz w całej swej wielkości, cofnął się do ściany i oparł się o nią. Starzy z pewnością byli jeszcze na schodach. K. gniewało, że Kullich zwrócił jego uwagę na tego człowieka, którego już sam przedtem zauważył, ba, którego nawet oczekiwał.

— Proszę tam nie patrzeć! — wybuchnął, nie spostrzegając, jak dziwaczne było takie odezwanie się do dorosłych ludzi. Ale nie potrzebował się tłumaczyć, gdyż właśnie zajęchało auto, wsiedli i pojechali. Wtem przypomniał sobie K., że wcale nie zauważył wyjścia strażników i nadzorcy. Nadzorca zasłonił mu trzech urzędników, a ci znowu teraz nadzorcę. Nie było to dowodem wielkiej przytomności umysłu i K. postanowił dokładniej się pod tym względem obserwować. Mimo to raz jeszcze odwrócił się mimo woli i wychylił poza oparcie tylnego siedzenia, aby może zobaczyć jeszcze nadzorcę i strażników. Ale zaraz znowu się wyprostował, oparł się wygodnie w kącie auta, nie starając